

# Polska szkoła prawdziwego dokumentu

Na 49. Krakowskim Festiwalu Filmowym trwa imponujący konkurs polskiego dokumentu. Fotografują one stary polski kompleks: prawdziwe życie jest gdzie indziej



Mały wielki film – 21-minutowy „Usłysz nas wszystkich” Macieja Drygasa, jeden z 20 filmów w konkursie polskiego dokumentu. Zrealizowany w Sudanie, poświęcony pamięci zmarłej montażystki Katarzyny Maciejko-Kowalczyk, stał się jej symbolicznym testamentem

TADEUSZ SOBOLEWSKI

Trudno było ułożyć zestaw krótkich (czyli mniej niż godzinnych) dokumentów wchodzących do konkursu polskiego tego festiwalu. Wiem o tym, bo sam byłem jednym z selekcionerów. Odrzucaliśmy wszystko, co pachniało publicystyką, ilustracją, propagandą, telewizyjnym formatem. Szukaliśmy dokumentów prawdziwych. Było ich w tym roku więcej niż miejsca w konkursie.

Co to znaczy „prawdziwy dokument”? Nie umiem tego zdefiniować. Wiem tylko, że spełnia różne, zdawałoby się sprzeczne funkcje - z jednej strony dochodzi w nim do głosu rzeczywistość, a z drugiej jest jej głęboką, autorską interpretacją.

Dokument bywa rodzajem bajki, metaforycznej przypowieści, opartej na pewnym koncepcie. Takie są: „Poste restante” Marcela Łozińskiego (dzieje listu zaadresowanego: „Pan Bóg. Niebo”, trafiającego do Wydziału Przesyłek Niedoreczalnych w Kuluskach) czy „Królik po berlińsku” Bartka Konopki i Piotra Rosołowskiego, w którym żyjące między ścianami muru berlińskiego zwierzęta zachowują się podobnie jak ludzie. Pragną zarazem wolności i bezpieczeństwa, ale doświadczają gorzkiego rozczarowania - nie da się osiągnąć obu celów naraz.

## Arcydzieło w Sudanie

Jeden z najwybitniejszych filmów konkursu, „Usłysz nas wszystkich” Macieja Drygasa, w sposób doskonały łączy obie skrajności dokumentu - obserwację i metaforę. Na pozór jest to reportaż z prac archeologicznych Polaków w Sudanie - moment odkrycia wczesnochrześcijańskich grobów na pustyni. Szpadelkami, pędzelkami, palcami centymetr po centymetrze

wydobywane są z piasku szkielety mnichów sprzed półtora tysiąca lat, przenoszone następnie do plastikowych toreb. Wokół tego zbudowany jest pasjonujący spektakl. Jego symboliki trzeba się doczytać samemu. Zaczyna się od zbliżeń pustynnej przestrzeni przypominających filmy s.f. - lądowanie na innej planecie, gdzie znajdujemy ślady cywilizacji istot wierzących w Boga. Materialne szczątki tamtej odległej cywilizacji segregowane dla potrzeb nauki zaczynają przemawiać. Montaż filmu (jedna z ostatnich prac zmarłej w tym roku Katarzyny Maciejko-Kowalczyk, jakby jej testament), muzyka (chorał Pawła Szymańskiego), punktujące obraz teksty sudańskich inskrypcji - wszystko to tworzy rodzaj liturgii. Zderzają się dwa porządki pojmowania świata - materialistyczny i duchowy. Rozsypujące się pod palcami archeologów fragmenty czaszek mówią: marność. Teksty starych modlitw proszą jakby w imieniu tych szczątków: „Zlituj się, Boże... Przywódcę duchów, Panie, przyjdź, objaw się, usłysz nas”. Wszystko na darmo?

Jest jeszcze trzeci znaczący wątek - miejscowych, Sudańczyków. Kamera zaczyna obserwować żywych świadków wykopalisk. Jest wśród nich człowiek na osiołku, który w pewnym momencie wyjeżdża z kadru, za nim stąpa na cienkich nóżkach osłe zrebie - znikają za załomem skały. Ten obraz, zdawałoby się tak błahy, ma siłę filmów Tarkowskiego, gdzie najwyklesza rzeczywistość jest ukazana z czułością jako święta, przemieniona. Taki wniosek płynący z kontemplacji grobów. Trzeba jechać aż do Sudanu, żeby tak spojrzeć na świat? Zobaczyć go jako pełnowartościowy, bezcenny?

## Fani Nowej Huty

W jury konkursu, obok przewodniczącego, dokumentalisty i fotografa Bogdana Dziworskiego, jest także pisarz Stefan Chwin i reżyser Grzegorz Ja-

rzyna - artyści przewrotni, rozbijające polskich stereotypów. Zobaczą filmy, w których polska rzeczywistość przemawia różnymi językami, tak sprzecznymi jak w dwóch filmach o Nowej Hucie - „Miasto bez Boga” Jacka Petryckiego (poza konkursem) i „Good morning, Lenin” Konrada Szolajskiego.

W dokumencie Petryckiego - historii walki o budowę nowohuckich kościołów - zdjęcie kardynała Wojtyły rozpoczynającego budowę kościoła upodabnia się do kadru z „Człowieka z marmuru”. Echa filmu Wajdy powracają też u Szolajskiego - to jeden z kilku filmów powstałych ostatnio na szlaku wycieczek, jakie organizują happenery z Krakowa („Crazy Guides”) dla ludzi z Zachodu, którzy chcą posmakować resztek wspólnotowego mitu. Szolajski jest jedynym, który przyjął ich punkt widzenia. Jego bohaterowie - Włosi, Belgowie, Anglicy - skrupulatnie poznają historię miasta, zwiedzają robotnicze mieszkania, jedzą bigos, próbują wódki, nieznanego sobie płynu. Jak Agnieszka w „Człowieku z marmuru” oglądają propagandowe kroniki. Dziwi ich obecność kościoła w robotniczym mieście. Zwiedzają pracownię rzeźbiarza Koniecznego, który kiedyś robił pomniki w stylu soc, a teraz rzeźbi papieża. Ulegają czarowi pieśni masowych, które odbierają w sposób niewinny, jak hymny jakiejś nieznannej religii.

Kapitałna scena: gdy przewodnik dochodzi do momentu, gdy komunizm się wali, Angielka wybuchła płaczem: „It's tragic! Tyle nadziei na nic! Dlaczego?” Włoszka dopowiada: „Teraz mają wszystkie towary, których im brakowało, ale czują się osobni, jakby opuszczeni”. Szolajski nie sztydzi z naiwności turystów - on tylko używa ich do tego, by pokazać wiarę w utopie, bez których nie ma życia społecznego. Pokazując płacz ludzi Zachodu nad niespełnionym socjalizmem, podpowia-

**Nasz dokument, inaczej niż kino fabularne, nie stracił ciągłości od lat 60. i 70., kiedy przeżywał swoją świetność**

da: nie odłączymy się od tego tak łatwo, it's tragic!

## Dewoci i komuniści

W wielu filmach dochodzi do głosu świadomość, że żyjemy na gruzowisku wiar i ideałów, w niekompatybilnych rzeczywistościach, mówimy różnymi językami. Rolą dokumentu jest wysłuchać innych, wejść w czyjś świat bez zdziwienia ani pogardy.

W świetnym filmie Lidii Dudy „Życie w cieniu radia” para starych, schorowanych ludzi spędza cały dzień, od świtu do wieczora, na modlitwie przy Radiu Maryja. Kamera towarzyszy im w różańcu - długo, namolnie, bezwstydnie. Obserwujemy, jak kłękają, zreumatyzowani, jak gramolą się na kanapę, pomagając sobie wzajemnie. Radio wciąż gra. Nie ma w ich życiu nic szczególnie sympatycznego ani frapującego. A przecież beznamiętnie ukazany rytuał odsłania swój sens. To nie satyra. Wartością jest samo to, że jesteśmy z nimi w tym mieszkanku, że kamera ich nie zdradza, nie oszukuje. Zmusza nas do uznania upartej wiary tych dwojga w to, że odprawiając swoją modlitwę, robią coś dobrego dla świata. Gdybyśmy na ich miejscu zobaczyli parę buddystów albo joginów, nie mielibyśmy przecież wątpliwości?

W kolejnym filmie, od którego nie mogłem się oderwać - „Przystanku Dłuzek” Irit Shangar - wchodzimy do wnętrza legendarnej domku na Mazurach. Sielskie letnisko, zabawy dzieci, spacer nad jeziorem, brzęk os, lepienie piero-

gów z wiśniami. Mama Agnieszki Holland i jej goście - kilka pokoleń inteligentów polskich, od 1968 r. mieszkających w Izraelu, Szwecji. Ludzie pokroju prezesa Farfała nazwaliby ich „żydokomuną”, choć niekoniecznie mieli żydowskie pochodzenie. Byli antyfaszystami, demokratami, uwierzyli przed wojną w komunizm, bo myśleli, że zlikwiduje przedziały społeczne, rasizm. Rozczarowali się, zostali dysydentami wypędzonymi z kraju. Opowiadają dziś o tym lekko, spacerując nad jeziorem.

Zostaliśmy - może po raz pierwszy tak wprost - dopuszczeni do intymnej pamięci pewnej polskiej formacji, ale trzeba było do tego spojrzeć z zewnątrz: Izraelki, która w tym mazurskim rajku szuka śladów ojca. Cytuje jego list z 1968 r.: „Nie mamy pracy, wyrzucają znajomych z mieszkań. Czy to koniec? Gdzie się podziały ideały, o które walczyłem od 16. roku życia? Żyłem w zakłamaniu. Doszedłem do końca drogi. Czuję, że zmarnowałem życie”.

„Zwyczajny marzec” Marii Zmarzec-Koczanowicz dopowiada dalszy ciąg. Tytuł filmu nawiązuje do słynnego dokumentu Michaila Romma „Zwyczajny faszyzm”. Adam Michnik na żywo komentuje ówczesne propagandowe programy radiowe i telewizyjne z marca '68. Był jednym z „synalków” - jak ich nazywała moczarowska propaganda - „bananową młodzieżą”. Ale może fakt, że byli „synalkami”, sprawiał, że oni nie byli tak zastraszeni jak my, ich rówieśnicy? Zdawali sobie sprawę, że zmiestyfikowany, wynaturzony system został zrobiony ludzkimi rękami - częściowo ich własnych rodziców. Ustrój nie był dla nich porządkiem natury - skoro został przez kogoś zmontowany, znaczy, że można próbować go rozmontować. Taka optymistyczna myśl wynika z dokumentu wypełnionego nieprawdopodobnym „marcowym gadaniem”, które i dziś ma swoją kontynuację.

## Tego nie zobaczycie gdzie indziej

Nowomowa - przedwojenna („Kiedys w Afryce” Piotra Jaworskiego o propagandzie Polski kolonialnej), powojenna oraz dzisiejsza (w nakręconym w Caracas dokumencie Franca de Peni o kampanii wyborczej Chaveza „King Hugo”) - zderza się w filmach konkursowych z żywiołem mowy potocznej. W tym roku synonimem dokumentu zaangażowanego nie będą historie dziejące się koniecznie - jak mówi ironicznie Masłowska - „w familokach, w Wąbrzychu”. Oglądając znakomitą „Chemię” Pawła Łozińskiego, dwa inne wybitne dokumenty konkursu, „Aktorów” i „Szczęściarzy” Tomasza Wolskiego, czy soczysty praski fresk Ewy Borzęckiej „Z tamtej strony Wisły”, mam poczucie, że oglądam aktorów życia - ludzkie kreacje, których nie zapomnę.

Wielcy starzy aktorzy uchwyteni na planie filmu Jacka Bławuta „Jeszcze nie wieczór”, nieraz dający tu z siebie więcej niż w tamtym filmie (Nina Andrycz - „królowa sceny polskiej”), czekający na swoje wejście jak na okazję zaistnienia. Ludzie przy kontuarze urzędu stanu cywilnego - temat jak z Kieślowskiego - nowożeńcy, rozwodnicy, świeżo upieczeni rodzice, wdowcy, powierzający urzędnicze swoje scenariusze życia („Szczęściarze”). Przed czujną i czułą kamerą Pawła Łozińskiego rozpuszczają języki biorący chemię pacjenci onkologii, którym bloki za oknem wydają się oazą szczęścia - byle tylko móc tam wrócić.

Życie, na które narzekamy, psując je nieustannie, ujawnia cały swój sens, gdy zobaczymy je od drugiej strony z dokumentalnego dystansu. Te filmy spełniają funkcję dramatów, jakich nie dostarcza nam kino fabularne ani telenowela. Mówiąc o wartości życia, walczą z kompleksem polskim, który sprawia, że prawdziwe życie wydaje nam się zawsze gdzie indziej. Nasz dokument, inaczej niż kino fabularne, nie stracił ciągłości od lat 60. i 70., kiedy przeżywał swoją świetność. Polska szkoła dokumentu - wyznaczana nazwiskami Karabasa, Kieślowskiego, Łozińskiego, Bławuta - wciąż trwa i nie daje się sformułować przez telewizję. ●

Więcej o festiwalu na:  
[www.krakowfilmfestival.pl](http://www.krakowfilmfestival.pl)